



GRAŻYNA PLEBANEK
NIELEGALNE
ZWIĄZKI

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).

GRAŻYNA PLEBANEK
**NIELEGALNE
ZWIĄZKI**

GRAŻYNA PLEBANEK

– autorka bestsellerowych *Dziewczyn z Portofino* (W.A.B. 2005), a także *Pudełka ze szpilkami* (2002; W.A.B. 2006) i *Przystupy* (W.A.B. 2007). Absolwentka polonistyki. Pracowała jako dziennikarka dla Agencji Reutera i „Gazety Wyborczej”. Publikowała m.in. w „Wysokich Obcasach”, „Lampie”, „Newsweeku”, „Elle”, „Pograniczach”, „Bluszczu”. Z Warszawy przeniosła się do Sztokholmu, od kilku lat mieszka w Brukseli. Znalazła się w grupie międzynarodowych artystów, których portrety będzie można oglądać na wystawie w Brukseli przez kolejne dziesięć lat.

GRAŻYNA PLEBANEK
**NIELEGALNE
ZWIĄZKI**

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2010
Wydanie I
Warszawa 2010

Halinie, Ance Ś., Jaśkowi, Wojtkom, Maćkowi

I

*Miłość do jednego tylko mężczyzny
czy jednej tylko kobiety jest wyrzeczeniem [...].
Idealizm jest śmiercią ciała i wyobraźni.*

Anaïs Nin, Dzienniki 1931-1934, t. I

Bruksela, 2007

Biegłby tak, nie zatrzymując się, sztafeta pracowa, domowa, rodzinna. Dopiero ta stara budowla wciśnięta między nieważne budynki wpuszcza w jego duszę witrażowe światło. Jonathan wchodzi do kościoła, czując, jak mdławy zapach świec podkręca ptaszka przysypiającego w jego spodniach. Ona już tam jest.

Jonathan przystaje, bo kolana się pod nim uginają. Dziewczyna idzie do niego wzdłuż rzędów ławek, w półmroku widać zarys smukłej sylwetki, długie włosy falują za nią tym ruchem, którego na świecie za mało, chyba tylko biegnące konie albo bijąca o brzeg piana fal mogą się z nim równać. Jonathan nie brnie w kulawe porównania, bo zapach, ciepło, zarys piersi pod bluzką i widocznych spod spódnicy długich nóg, nie najzgrabniejszych, lecz rozczulająco źrebakowatych, zagarniają go wraz z jednym pocałunkiem, który dziewczyna – właściwie kobieta, tak, to prawdziwa kobieta – składa w kąciaku jego ust.

„Szatański pomysł” – myśli Jonathan, przyciskając do siebie ciało pachnące cytryną. W tym czasie jego dłonie podnoszą się i zamykają na jędrności pośladków.

„Komunia ciał” – myśli Jonathan.

– Andrea...

A w duchu dodaje: „Oby trwała wiecznie”.

Półtorej godziny później, kiedy wraca z Ixelles, pospieszając w myślach auto, czuje, że ma więcej mocy niż czteroletnia toyota. Najchętniej wytupałby dziurę w podłodze

i dojechał do domu metodą z *Jaskiniowców*, bąbelki szczęścia pękają z cichym „pyk”, aż Jonathan wybuchą śmiechem.

Wciąż od nowa rozpamiętuje ostatnich kilkadziesiąt minut.

Początek: wychodzą z Andream z kościoła, ocierają się ciałami jedno o drugie. Wsiadają do samochodu, Jonathan wrzuca migacz i włącza się w sznur samochodów. Przeszkadza mu skrzynia biegów, bo ręka spieszy się pod spódnicę pasażerki. Gdy trafia na pasek skóry nad pończochą, Jonathan wciąga spazmatycznie powietrze. Cudem mijają motocyklistę i wsuwa dłoń między uda dziewczyny. Jest w przedpokoju cipki.

Chociaż, prawdę mówiąc, początek był inny. Gdy wychodził z domu na spotkanie z Andream, z kuchni wychyliła się Megi.

– Jonathan? Czy możesz wziąć pieniądze z bankomatu, jak będziesz wracał z siłowni?

Skinął głową, poprawił na ramieniu torbę ze strojem do ćwiczeń i już go nie było. Obojętna mina, nielogiczne wciągnięcie powietrza, jakby mógł zrolować ciągnącą się za nim smugę zapachu wody kolońskiej i wcisnąć ją do worka ze strojem sportowym, byle dalej od nosa żony.

Pospiesznie pchnął drzwi wyjściowe i stanął na ulicy. Ostatni pytający esemes, w odpowiedzi błysk ekranika – ona, Andrea, już na niego czeka.

Z okna mieszkania dobiegły dziecięce głosy. Jonathan skulił ramiona i szybko podszedł do auta. Córnka o mało go kiedyś nie wyspała, pytając, dlaczego na siłownię zakłada najlepszy tiszert, ten, który Megi przywiozła mu z Nowego Jorku. Kiedy indziej syn przytulił się do niego i pogładziwszy po wygolonym policzku, zapytał:

– Co się stało z twoimi kółkami, tatusiu?

Jonathan rzucił na tylne siedzenie torbę ze strojem na siłownię i ruszył avenue Emile Max. Drzewa kwitły pysznie, jedne białe, inne wiśniowo, opadłe płatki przykrywały ulicę wilgotnym dywanem, wyścielały załomy jezdni, maskowały brud. Kiedy szedł tędy wczoraj z dziećmi, Antosia zdjęła buty i pobiegła boso, Tomaszek rozjeżdżał pianę kwitnienia kołami rowerka.

Jonathan obiecał sobie, że sfotografuje drzewa, zanim opadną płatki. Oczywiście zapomniał i teraz został mu dzień, najwyżej dwa, by złapać kruche pięknko.

Jechał, a drobne, codzienne wspomnienia dziobały pamięć. Minął rondo, zaparkował w bocznej uliczce na tyłach kościoła i wysiadł z samochodu. Był rozdrażniony. Niech wreszcie opadną z niego okruchy życia rodzinnego! Przyjechał tu, żeby spotkać się z kochanką.

Gdy wracał ze spotkania z Andreą, kamienice na placu Dailly grzały się w ciepłe zachodzącego słońca, czerwony blask szminkował dachówki. Jonathan skręcił w prawo i zaparkował przed domem. Chwycił za uszy torbę ze strojem sportowym, obrzucił badawczym spojrzeniem wewnątrz auta: siedzenia dzieci były zasłane okruchami herbatników, pośrodku walał się pusty karton po soku, zapomniany rysunek – wszystko wyglądało tak, jak powinno.

Od progu pachniało obiadem. Żona po powrocie z pracy nie zdążyła się jeszcze przebrać. Na nogach miała kapcie, ale pod fartuchem spódnice od kostiumu, przy której dyndała „smycz” – identyfikator dający wstęp do budynku Rady Europejskiej. Jonathanowi przyszło do głowy, że Megi jest żoną nowoczesną: kuchenne wonie nie pokonały zapachu ebonitu, który zwykle ją otaczał, gdy wracała z pracy, woni charakterystycznej dla urzędników spędzających dni przed komputerem.

Jonathan pachniał inną kobietą, dlatego czmychnął na górę.

– Wziąłeś pieniądze z bankomatu? – zatrzymało go pytanie, gdy był już u szczytu schodów.

Klepnął się w czoło, Megi ściągnęła usta. Jonathan odwrócił się i zatrzasnął w łazience.

Zrzucając z siebie ubranie, uśmiechnął się do lustra. Coś przecież wziął – dawkę energii z bankomatu namiętności. Zanim wszedł pod prysznic, zlizął z palców smak kochanki.

Brukselski start, dwa lata temu – jeden z wielu początków, które tak naprawdę niczego nie zaczynały, ale były wygodnymi oparciami dla pamięci. Wspomnienie dwóch małych kluczy, które wręczyła im właścicielka mieszkania – Jonathan spojrzął na nie zdumiony. Sądził, że wysokie na prawie cztery metry pokoje z łukowato sklepieniami, pałacowymi oknami zakończonymi u góry misterną kratką szyb powinien otwierać klucz, jaki w baśniach dyndał u pasa czarownicy.

Megi zamknęła puste mieszkanie i schowała klucze do torby. Obeszli „swoją” nową okolicę, zatrzymując się przed szybą apteki, przed wystawą punktu dorabiania kluczy i szyb. Z chińskiej restauracji wzięli jadłospis dań na wynos, w kawiarni na skwerku przysiedli na kawę.

– *Café au lait, s'il vous plait* – poprosiła Megi.

– *Lait russe* – skorygował z uśmiechem kelner.

Megi zerknęła znacząco na Jonathana, ale on nie patrzył na nią. Starsi ludzie siedzący przy stolikach obok (potem okazało się, że za rogiem mieści się dom z mieszkaniami dla emerytów) czytali gazety po francusku, kelner brał zamówienie po holendersku, gardłowy arabski toczył się za dziećmi oblegającymi widoczny zza drzew plac zabaw. Wiatr bawił się fałdami długich strojów arabskich kobiet popychających wózki i lizał czekoladowe brzuchy ciemnoskórych matek, za którymi wodzili wzrokiem polscy robotnicy.

– Słyszalesz? Kawa z mlekiem to tutaj „rosyjskie mleko” – głos Megi przebił się przez wielojęzyczny gwar.

Jonathan uśmiechnął się z roztargnieniem. Zdążył zapomnieć, jakie piękne pupy mają Murzynki!

Jonathan od wczesnego dzieciństwa wiedział, że podróże oznaczają rozstania. Jego matka wyjechała pierwszy raz, gdy miał siedem lat. Dostała propozycję stażu w Anglii i zniknęła z jego życia na parę miesięcy. Wtedy wydawało mu się, że odeszła na zawsze.

Pewnego dnia pojechali do niej z ojcem. Wizyta minęła tak szybko, że nic z niej nie zapamiętał. Za to sceny pożegnania nigdy nie zapomniał: stali przy bramce na lotnisku, Jonathan uczepiony z całej siły ręki matki czuł, że i ona nie chce go puścić. Ojciec stał obok i wydawał z siebie kolejną serię znaczących chrząknięć, ale Jonathan nie zwracał na niego uwagi. Matka też nie puszczała; wyglądała, jakby chciała się samospalić.

Wówczas ojciec wzrokiem wezwał na pomoc stewardesę, a sam ujął żonę za ramię z niezwykłą dla niego stanowczością. Uścisk ręki matki osłabł, więc Jonathan chwycił ją jeszcze silniej. Wtedy stewardesa uklękła przed nim i powiedziała coś w rodzaju: „Och!”

Nie zwróciłby na nią uwagi – był w rozpacz, a wymykająca się ręka matki wilgotniała w jego dłoniach, jakby też płakała – gdyby nie oczy stewardesy. Były błękitne, kryształicznie jasne, pełne blasku północy. Stewardesa, wciąż klęcząc, ujęła jego drugą rękę – miała na tyle taktu, żeby nie wciskać swej dłoni w miejsce jeszcze nieostygłe po dotyku matki – i w milczeniu pogłaskała go po policzku.

Jej oczy tak przykuły uwagę Jonathana, że ojciec zdołał po cichu nakłonić matkę, by wymknęła się niepostrzeżenie z hali odlotów. Gdy Jonathana posadzono przy okrągłym oknie samolotu, już nie płakał. Chłonał blask nieba, który był jedynie bladym wspomnieniem spojrzenia tamtej dziewczyny. Od tego czasu matka przestała być dla niego całym światem, za to błękit oczu tropił pilnie.

Jakiś czas potem rodzice się rozwiedli, matka wyszła za Anglika. Gdy Jonathan skończył podstawówkę, ściągnęła go do siebie, by w Anglii poszedł do szkoły średniej. Ojciec zgodził się na to, nawet za cenę niewidywania syna przez czas nieokreślony. Desperacko pragnął, by Januszek (tak się wtedy nazywał, zanim angielscy kumple, którzy nie byli w stanie wymówić jego imienia, nie ochrztili go Jonathanem) został obywatelem świata, a nie kraju najjeżdżanego co i rusz przez sąsiadów.

Kilka lat później oboje rodzice zgodnie użyli tego samego argumentu, naciskając, by po maturze zdawał na studia we Francji. Tam odnalazł drugie w swoim życiu intensywnie błękitne oczy – poznał Szwedkę Petrę. Kiedy zobaczył ją pierwszy raz, zwisała z pleców kolegi, zbyt pijana, żeby ustać na nogach. Miała twarz Grace Kelly, prosty nos, klasyczne łuki brwi. Gdy spojrzała na niego, przeszedł go dreszcz – mroźne tęczęwki, zamglone nadmiarem alkoholu. Pomógł położyć ją na kanapie w akademiku, a sam wyciągnął się koło niej.

Tej nocy nie spał, tylko patrzył na nią i marzył, jak obejmie ustami jej łechtaczkę. Gdy nie mógł dłużej wytrzymać kamiennego snu dziewczyny, dotknął palcami jej ust.

Do niczego między nimi tego ranka nie doszło, ale od tej pory Jonathan jej nie opuszczał. Podniecało go w niej wszystko, nawet to, że nie dawała się przeniknąć. Małomówna, powściągliwa, tylko w łóżku się rozgrzewała. Nie przepadała za eksperymentami, ale kiedy brał ją na czworaka, wypinała się jak kotka, aż uda zaczynały jej drżeć, a z ust wyrывał się cichy skowyt. Ledwo dochodziła, wysuwał się z niej, obracał na plecy i patrzył w jej źrenice, zasnuty na czarno zimny błękit tęczęwek.

Co noc rozgrzewał anielsko jasne, szczupłe ciało, aż dziewczynę zaczęło to męczyć. Miał wrażenie, że z ulgą czekała na okres, żeby zabronić mu dostępu do siebie,

choć jemu akurat krew nie przeszkadzała, lubił wzmoczoną śliskość pochwy, żelazisty zapach przemieszany z wonią seksu. Pompował mocno, aż wilgotniała mu skóra, ssał w zapamiętaniu jej język, ogarnięty mrowiącym podnieceniem.

Wiosną Petra chodziła przez miesiąc podminowana, nie pozwalając mu się tknąć, w końcu powiedziała, że jest w ciąży. Przez chwilę zobaczył w wyobraźni małego ludzika z bardzo niebieskimi oczami, ale Petra nie chciała o tym słyszeć. Po skrobance pomagał jej trochę; twarz dziewczyny, jak zwykle, niewiele wyrażała, tylko oczy wyglądały, jakby wyciekł z nich kolor.

Byli razem jeszcze dwa miesiące. Uroda Petry budziła powszechny zachwyt i atawizm kazał Jonathanowi pilnować takiej samicy. Z drugiej strony – wiedział już, co ta kobieta umie w łóżku.

Po zrobieniu dyplomu we Francji Jonathan przyjechał do Polski na wakacje. Zamieszkał u ojca, poodwiedzał krewnych, nacieszył się smakiem kielbasy i dostępnością czystej wódki. W Polsce było mu „ciepło” – ludzie otwierali się, kiedy tylko przestawali węszyć podstęp w jego akcencie – ocierali się o siebie w autobusach i tramwajach, krzyczeli i trąbili klaksonami, pocili się ze złości na rząd i sąsiadów, śmiali z pijaków kotwiczących w wiatach przystanków.

Już miał wracać, gdy na jednej z imprez spotkał Magdę. Młodsza o rok, pisała właśnie pracę magisterską. Miała brązowe oczy i pełne usta. Choć miał przed nią sporo dziewczyn, był nawet czas, gdy pociągały go neurotyczki, kruche jak nadtłuczone dzbany (usiłował je pozlepić, ale kiedy od nich odchodził, znów rozpadały się na kawałki), ona była wyjątkowa.

Dla Magdy, która jako dziewczyna Jonathanu dostała od kumpli przezwisko „Megi”, został w Warszawie. Za-

trudnił się jako dziennikarz, zaczął zarabiać niezłe pieniądze, za które wynajęli kawalerkę. Wzięli ślub, w dziewięćdziesiątym ósmym urodziła im się Antosia, cztery lata później Tomaszek.

Kiedy w 2005 wyjeżdżali z Polski, Jonathan miał za sobą kilka rozsądnie rozegranych etapów dorosłego życia: załapał się na przełom dziejowy i gdy kapitalizm otworzył paszczę na młodych, niezmanierowanych, z językami, zaczął zarabiać godziwe pieniądze, pracując najpierw jako tłumacz, potem jako dziennikarz. W dobrym momencie wziął kredyt i kupił mieszkanie; gdy je potem sprzedawał, ceny nieruchomości poszły w górę i Jonathan sporo zyskał.

Miał za sobą też parę faz irracjonalnych: ponieważ urodził się 24 grudnia, a jego imię zaczynało się na „J”, to chociaż był niewierzący, obawiał się, że nie dożyje trzydziestych czwartych urodzin. Stało się inaczej, a Jonathan, któremu w tym przełomowym roku urodził się syn, wpadł w euforię i podjął decyzję, o której jego przyjaciel Stefan mawiał, że wynikała z szoku poporodowego – Jonathan zrezygnował z etatu w poczytnym dzienniku, by zostać z dzieckiem w domu.

Opieka nad noworodkiem okazała się najtrudniejszą rzeczą, jakiej się w życiu podjął. Starał się skupić tylko na tym, ale gdy przyszła propozycja napisania artykułu, przyjął ją z pocałowaniem ręki. Potem następną i następną, wreszcie zabrał się za tłumaczenia. Wkrótce stało się oczywiste, że stopniowo rejteruje z „tacierzyńskiego”. A ponieważ żona, licząc na niego, po sześciu tygodniach od porodu wróciła do pracy, Tomaszkiem musiała zająć się niania. Pensja kobiety była niemal równa temu, co przynosił do domu freelancer Jonathan.

Megi długo wytykała mężowi, że nie został z dzieckiem, tak jak ona, gdy poświęciła dwa lata kariery ich starszej

córcie. Łatwo jej było mówić! Chociaż twierdziła, że nie było jej lekko, zdaniem Jonathana wtopiła się bez wysiłku w krajobraz piaskownicy. On zaś, po miesiącu zmieniania pieluch, poczuł, że kumple przestają go traktować jak swojego, a matki ruszające miarowo wózkami widzą w nim wszystko, tylko nie męzczyznę.

Coś mu się jednak udało. W czasie niedoszłego „tacie-rzyńskiego” napisał książkę. Była to historyjka dla dzieci, zrodzona z zachwyty córką i synkiem, okraszona poczuciem winy, że nie jest w stanie dać im stu procent swojego czasu, chociaż kobiety to potrafią, niektórzy mężczyźni też, a na świecie staje się to modne.

Do pierwszej historyjki dopisał drugą i trzecią, i ani się obejrzał, a zaczęto go zapraszać na spotkania autorskie, gdzie matki szczerbatych wielbicieli podsuwały mu książki do podpisu. I jakoś tak, bez wielkiego planu, został bajkopisarzem. Dla przeciwwagi ubierał się w tym czasie jak korespondent wojenny, dopóki nie okazało się, że kamizelki w maskujących kolorach są hitem w sanatoriach.

Kiedy zadzwonił budzik, Jonathan przez chwilę łudził się, że może to sobota. Z dołu dochodził zapach śniadania i ledwo wyczuwalna woń perfum Megi. Trzasnęły drzwi wejściowe. Poniedziałek.

Ruszył do łazienki krokiem chabety. Wysoki, szczupły, po matce odziedziczył ciemne włosy, których nie lubił strzyc. Odsunął je do tyłu, założył okulary i chociaż nocą dół twarzy obrósł, machnął ręką – nie miał siły na golenie.

Antosia wstała bez dłuższego napominania, w nietypowym dla siedmiolatki poczuciu odpowiedzialności, Tomaszek dał się zanieść do łazienki i postawić przed muszlą klozetową. Siusiał z zamkniętymi oczami, złorzecząc na los przedszkolaka. Gdy Jonathan wrócił, by posłać łóżka dzieci, synek zakradł się z powrotem do pokoju i zakopał pod kołdrą.

– Tomaszku – Jonathan stanął nad spiętrzonym kocykiem i oparł ręce o biodra. – Wstawaj!

– Tośka jest w łazience – dobiegło spod kołdry.

– Antosia, wyłaź!

– Szukam spiniki! On mi schował.

– To weź inną – krzyknął Jonathan.

– Nie chcę innej. Chcę tą, którą on mi schował!

Jonathan wyłuskał syna spod kołdry.

– Tomasz, oddaj Antosi spinkę.

– Jaką znowu spinkę?! – Szare oczka otworzyły się szeroko.

Jonathan wybuchnął śmiechem, a Tomaszek, chichocząc diabelsko, wskoczył znów pod kołdrę.

– Wstawaj, jesteście spóźnieni – usiłował zachować powagę Jonathan. – Marsz do łazienki!

– Kiedy ona tam jest.

– Antośka!

– Wyjdę, jak mi odda spinę!

Pół godziny później stali w korku. Remontowaną z dwóch stron avenue de Roodebeek sunęła pojedyncza nitka samochodów, dopiero gdy nurkowali w tunel, jazda nabierała tempa. Wjazd na rondo Montgomery było jak prowadzenie auta w wesołym miasteczku, gdzie każdy wciskał się jak mógł w pierwszą wolną dziuplę na zewnętrzny pasie.

Przed szkołą Jonathan ucałował na pożegnanie Antosię i pobiegł z Tomaszkiem do jego klasy. Po korytarzach biegali malutcy Azjaci, biali, kilku Afrykańczyków. Jonathan zerknął na jedną z matek, Włoszkę, pod której obcisłą bluzką rysował się zgrabny biust. Ktoś zagaądał do niego: Kanadyjka chciała umówić swojego syna z Tomaszkiem na popołudniową zabawę. Nie była ładna, ale Polska nie kojarzyła jej się wyłącznie z hydraulikami; prawniczka, jak Megi, czytała Kosińskiego i Kapuścińskiego.

Jonathan pochylił się nad nią, widząc, że zbliża się farmer z Ohio. Drugi rodzynek w tym kurniku, już pierwszego dnia znajomości powiadomił Jonathana o swoich polskich korzeniach. Znał słowo „dupa”, nosił okulary i fryzurę z boleśnie pedantycznym przedziałkiem, a matki szeptały, że jest emerytowanym klawiszem z więzienia w Ohio.

Jonathan pożegnał się z Kanadyjką i ruszył na parking. Nie od razu przekręcił kluczyk w stacyjce. Nie chciało mu się wracać. Do Brukseli przyjechał już ich dobytek, w domu czekały stopy pudeł. Chociaż codziennie je rozpakowywał, optycznie ich przez to nie ubywało.

Ruszył, ale tylko po to, by zatrzymać się w bistro przy pobliskim skwerze. Kupił kawę i otworzył laptopa. Mejl od Stefana.

Zanim kliknął, rozejrzał się ostrożnie dokoła. Przyjaciel Jonathana, kolega Megi ze studiów, który podobnie jak ona dostał pracę w Komisji i przeniósł się do Brukseli, zwykle dołączał do mejli strony pornograficzne. I tym razem na ekranie wykwitły piersi. Jonathan przytknął klapę laptopa – tyle razy mówił Stefanowi, że on, Jonathan, jest „ass-man” – woli piękne tyłki i długie nogi!

Po chwili zerknął na zdjęcie. Nie ufał mężczyznom, którzy twierdzili, że nie oglądają gołych pańienek, bo są prostackie, a filmów porno, bo nudzą ich dialogi.

W końcu gestem zawołał kelnera. Drgnęło w nim poczucie winy – Megi zasuwała na etacie, a on siedział w słońcu i oglądał pornola.

Kiedy wiosną 2005 roku kupili bilety lotnicze Warszawa–Bruksela, Jonathanowi spadł kamień z serca. Ostatnie dziesięć lat mieszkał w jednym miejscu. Dał się „udomowić”, z miłości do Megi. Nie skarżył się, jednak tęsknota za podróżowaniem odzywała się, jak rana po postrzale. Domyślał się, że przeprowadzka czteroosobowej rodziny do innego kraju może przypominać przenosiny cyrku Knee, ale nęciła go wizja obiecującego wolność żaglowca.

W 2005 Megi, która przekroczyła barierę wieku Marilyn Monroe i księżnej Diany – skończyła trzydzieści sześć lat – jednak w odróżnieniu od nich nadal żyła, dostała prezent od losu: propozycję pracy w Brukseli. W rzeczywistości, długo się uczyła do egzaminów unijnych, po czym je zdała, chociaż krewni, chętni widzieć w niej przede wszystkim żonę i matkę, lubili przypisywać

brukselską ofertę splotowi okoliczności i nazywać ją, jak to określił wuj Tadeusz, „fartem”.

Gdy Megi dowiedziała się, że zdała egzaminy i dostała pracę, dzięki której może utrzymać czteroosobową rodzinę w środku Europy, w pierwszej chwili struchlała, jakby własnym krzykiem poruszyła lawinę. Potem przez kilka wieczorów zamykała się w kuchni i pisała na kartkach argumenty „za” i „przeciw” wyjazdowi. Jonathan, który wiedział aż za dobrze, że namawianie Megi do czegokolwiek może odnieść skutek odwrotny, wybrał czekanie. Wreszcie zmięta kartki, usiadła przy kuchennym stole i zawołała Jonathana. Kilka dni później wydali podwieczorek, by w słodkich oparach szarlotki oznajmić dalszej rodzinie, że przenoszą się do Brukseli.

Pierwszy obraził się wuj Tadeusz, bo nie tak, jego zdaniem, wyglądał prawdziwy patriotyzm. Wymawiał to słowo tak, że brzmiało, jak „patriotyż” i Jonathan chętnie by go ugryzł w tłustą nogę, również dlatego, że wuj podawał w wątpliwość męskość Jonathana od czasu, gdy ten zrezygnował z etatu. „Tak nie robi prawdziwy mężczyzna” – sarkał emeryt, uparcie ignorując „ę” w ostatnim słowie. Pozostali krewniacy pytali: „Gdzie będziecie jechać do obcych?” i: „A po co do tej Belgii?”

Megi i Jonathan zostawili w Warszawie torciki wędłowskie („żebyście mieli w tej Belgii coś słodkiego”), dzieci powierzyli opiece babci i pewnego wiosennego dnia 2005 roku stanęli na nieznanym sobie placu, mrużąc oczy w blasku znanym z obrazów wielkich Flamandów. Ta chwila była wykuszem w pamięci, chwilą oddechu, zanim codzienność znów się ocknęła.

Po kilku tygodniach od przeprowadzki nowe życie Megi uregulował nurt pracy, jednak Jonathan wciąż podskaکیwał jak korek na fali przeprowadzki. Nadmiar pudeł i liczne obowiązki domowe, od których odwył w Warszawie, spadły mu na głowę, jakby biorąc odwet za rejeradę z „tacierzyńskiego”. Powoli docierało do niego, że podróże, do których przywył w czasach młodości i za którymi tęsknił, wyglądały dziś inaczej. Żaglowiec okazał się pękatą barką.

Dom zawalony pudłami zaczął go wyrzucać z siłą implozji, ale ścieżki poza domem były wciąż nieprzetarte. Jonathan, który w Warszawie cieszył się z wolnego zawodu, postanowił poszukać stałej pracy. Musiał oswoić miasto nie z pozycji turysty, tylko mieszkańca. Co istotniejsze, wraz z wyjazdem z Polski, urwała mu się większość dziennikarskich dochodów, zaś jego konto zaświeciło pustkami. Jonathan odkrył, że branie pieniędzy z konta żony przyplaca nieprzyjemnym uczuciem – czego, właściwie?

Nie analizował zbytnio tego stanu, aż tak się w sobie nie babrał. Rozesłał swoje CV w kilkanaście miejsc; wkrótce zaczęły spływać mejle, aż pewnego dnia trafił na list, po którego otwarciu poczuł narastające podniecenie. Nie był to załącznik od Stefana, tylko oferta pracy – porywająca – aż do ostatniego akapitu. Przy informacji o pensji jęknął, rozczarowany.

Pojechał do domu zbijać regały, ale myśl o dziwnym zajęciu nie opuszczała go. Co jakiś czas łapał za notes i kredką Tomaszka zapisywał przychodzące mu do głowy

pomysły. W końcu nie wytrzymał i zadzwonił do Megi. Odbił się od jej automatycznej sekretarki i wcisnął drugi na liście numer – Stefana.

Poznali się kilkanaście lat temu w Warszawie. Stefan, bywalec imprez urządzanych „na kicu”, czyli w akademiku przy ul. Kickiego, wpadł tam kiedyś na waletującego Jonathana. Połączyły ich ostatnie podrygi studenckiej wolności, przy lada okazji opowiadali sobie historie, takie jak ta, gdy Stefan usiłował pozbawić cnoty pannę z głębi kraju, myśląc w ciemności hymen z rajstopami.

O Stefanie Jonathan mówiłby „mój przyjaciel”, gdyby nie to, że po polsku brzmiało to jak wyznanie. Instytucja przyjaciela wydawała mu się literacko-pretensjonalna (Winnetou i Old Shatterhand), dlatego Stefana nazywał Stefanem.

Na spotkanie umówili się na rue Franklin. Spóźniony Jonathan pędził, udając, że nie słyszy, jak komórka pęcznieje esemesami od Stefana. W końcu dostrzegł w ogródku knajpki kontur dobrze utrzymanej sylwetki ujętej w ryzy garnituru i jasne włosy, o których mało kto wiedział, że zaczynają się przerzedzać.

– Przez ciebie zostanę alkoholikiem. – Stefan wskazał pustą szklankę po piwie i gestem zamówił kolejną.

– To przez niańkę, nie umiała do nas trafić. – Jonathan opadł na krzesło.

– Ładna?

– Ma złoty ząb.

– Moja ciotka miała złote siekacze – zamyślił się Stefan.

Jonathan bez słowa podniósł dwa kciuki w górę. Namiar na niańkę dostał od polskiego hydraulika, ale nie o tym chciał teraz mówić. Otworzył usta, jednak w tym momencie rozległa się seria z karabinu maszynowego.

Stefan wyjął komórkę i odczytał wiadomość.

- Strzały z kałasza? – Jonathan odchylił się na krześle.
- Polska Chrystusem narodów w stolicy Europy?
Tamten machnął ręką i wsunął telefon do kieszeni.
- Strzela, kiedy przychodzi wiadomość od Moniki.
Kelnerka postawiła przed nimi piwo.
- Co u niej? – Jonathan sięgnął po paczkę papierosów. –
Znalazła pracę?

Stefan wyłowił ze szklanki paproch. Monika, żona Stefana od kilkunastu lat, urodziła się o dwadzieścia lat za późno. W latach sześćdziesiątych byłaby, jak mawiał ojciec Jonathana ku lingwistycznej zgrozie syna, klasycznym „kociakiem”; dwie dekady później, przy długonogich, blondwłosych koleżankach z roku, prezentowała się jak grzyb.

Stefan chodził z nią na pierwszym roku studiów, ale nie wytrwał w monogamii. Gdy spotkali się znów, dwa lata po skończeniu uczelni, Monika pocieszyła go po ciężkostrawnym związku z dominującą romanistką. Efektem tego spotkania była ciąża. Stefan potraktował ją honorowo: oświadczył się i został przyjęty.

Po urodzeniu córki Monika ściągnęła do pomocy przy dziecku swoją matkę, która pomieszkiwała u nich na zmianę z ciotkami. Starsze kobiety identycznie maczały kawałki bułki w mleku i paliły po czterdzieści papierosów dziennie, a Stefan nie odróżniał jednej od drugiej. Dwupokojowe mieszkanie zsiniało od dymu, a prośby pana domu, by palić na balkonie ze względu na dziecko, przyjmowano wzruszeniem ramion. Stefan, który nie był pewien, do której z ciotek mówi, powiesił wkrótce w kuchni kartkę z przykazaniem, by w mieszkaniu nie palono. Kartka zniknęła, a w mieszkaniu nadal było szaro od dymu.

Do córki Stefana nie dopuszczano. Małe, biuściaste kobieciny przechadzały się po osiedlowym podwórku

z jego dzieckiem, prezentując drobnoloczkowe trwałe, aż poczuł się zbędnym elementem we własnym mieszkaniu. W tym czasie Monika zatrudniła się w firmie leasingowej na stanowisku, którego nazwy nikt nie był w stanie zapamiętać.

Kiedy kilka lat później Stefan przeżywał fascynację koleżanką z pracy, Monika z nieomylnym instynktem zaszła w drugą ciążę. Efektem był syn, Franek. Stefan kupił większe mieszkanie, bo liczba opiekunek w domu się podwoiła.

Gdy dostał ofertę pracy w Brukseli, łudził się, że wyjedzie sam, ale Monika spakowała siebie, nastoletnią córkę i młodszego Franka, pożegnała się z leasingiem i stanęła gotowa do przeprowadzki. Stefan wynegocjował jedynie, by nikt z jej wsi z nimi nie jechał.

– U Moniki? – Spojrzał teraz na komórkę. – Jeszcze nie znalazła pracy. Nic dziwnego, przecież nie zna żadnych języków.

– Co u ciebie w robocie? – szybko zmienił temat Jonathan.

Stefan się ożywił. O pracy mógł opowiadać godzinami, układy personalne obserwował i rozgrywał z pasją. Gestem wskazał kelnerce pustą szklankę i zaczął streszczać Jonathanowi ostatnie rozszady w dyrekcji generalnej do spraw rozszerzenia Unii, gdzie był starszym administratorem. Jonathanowi zapadł tylko w pamięć skrót miejsca pracy przyjaciela – „enlarg” – od angielskiego „enlargement”.

Kiedy Stefan zrobił przerwę na łyka, Jonathan wyrzucił z siebie:

- Zaproponowali mi pracę.
- W Komisji?
- Nie.
- Media?

Jonathan milczał, robiąc suspens.

– Chcą, żebym został wykładowcą kursu twórczego pisania.

Stefan zmrużył powieki. W jasnych oczach, gdzie zazwyczaj czaił się pociągający kobiety rodzaj łajdactwa, wykwitł sumienny namysł.

– Za ile?

– Nie pytaj. – Jonathan spuścił głowę.

– Tak kiepsko? – Stefan sięgnął po papierosa. – Co Megi na to?

Jonathanowi stanął przed oczami wczorajszy dzień. Częste kontakty z automatyczną sekretarką żony doprowadziły go do sformułowania nikomu niepotrzebnej opinii, że modulowany głos automatu zawiera nuty seksualnej obietnicy, ale zamiast pobudzać wyobraźnię, wpycha myśli w rynną wąską niczym saneczkarski tor: od wirtualnej wojowniczkii Lary Croft do rozchyłonych ust Angeliny Jolie. Późnym wieczorem Megi wreszcie odebrała, ale głos miała zmięty i odległy. Wciąż tkwiła na zebraniu, które miało się skończyć po północy. Nie mogła długo rozmawiać. Zapytała tylko o dzieci, a Jonathan poczuł, jak część buzującej w nim od rana energii zamienia się w złość. Mocno wcisnął klawisz komórki, żegnając wzrokiem napis „żona”.

– Nie mieliśmy nawet kiedy pogadać – mruknął. – Megi do późna pracuje.

– Ktoś musi – roześmiał się Stefan, a Jonathan przyrzekł mu się z namysłem. Każdy miał jakieś braki, Stefanowi brakowało taktu. – Tak czy siak, jak źle płacą, to nie zwracaj sobie tym głowy. Poszukaj czegoś innego.

– Ale to jest ciekawe! Mogę sam ułożyć program. Bierze mnie to.

Stefan skinieniem głowy podziękował kelnerce, która postawiła przed nim piwo.

– Ile ty masz lat? Brać to cię może to. – Wskazał oddalającą się dziewczynę. – Praca ma cię ustawiać. Masz studia, doświadczenie dziennikarskie, znasz języki. Mam ci mówić, co robić? Przecież...

Urwał, bo w jego kieszeni rozdzwoniła się komórka.

– Jestem w pracy – rzucił do słuchawki. – Na kolacji. Służbowej. Jak to, nie rozumiesz, co napisali w mejlu ze szkoły? Dobra, zaraz kończę.

Rozłączył się, pospiesznie wypił piwo i zwrócił się do Jonathana:

– Pomyśl o sensownej robocie. Aha, w piątek jest impreza u wiceszefa grupy zadaniowej, Megi pewnie dostała zaproszenie, przypilnuj, żebyście przyszli!



Nie chciałam pisać o miłości. Ale spotkałam mężczyznę, który opowiedział mi o swoich miłościach – do żony, do kochanki, i o tym, jak bardzo w tej całej zawierusze boi się o dzieci. Pomyślałam, że już czas uczynić mężczyznę głównym bohaterem romansu. Bo on kocha i cierpi – ale nie „za miliony”. Dzisiejszy mężczyzna trzyma ręce na brzuchu rodzącej kobiety, przewija noworodka, gotuje, pierze. A kiedy trafi go „nielegalne” uczucie, musi się zastanowić – co dziś znaczy być prawdziwym mężczyzną? Jaką rolę we współczesnym, partnerskim układzie gra zdrada, rzecz stara jak świat?

Grażyna Plebanek

Grażyna Plebanek niczym wiedźma siedzi nad kotłem ludzkiego losu i miesza, pokazując w migoczących na ścianie obrazach kolejną porcję życia. Życia tak prawdziwego, że aż boli.

ANNA DUTKA, RECENZENTKA.BLOX.PL

Plebanek znakomicie oddaje tymczasowość tego, co wydaje się stałe, ulotność zdarzeń, niemożność zakorzenienia, rolę przypadku wpływającego na los bohaterów.

BERNADETTA DARSKA, „POGRANICZA”

→ WWW.WAB.COM.PL

9 78-83-7414-745-3



9 788374 147453

CENA 39,90 Zł

Wydawnictwo
ab
two

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).